

Warszawa dnia 7 (19) Czerwca 1867 roku.

Nr 25. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

Od Redakcyi.

Opiekun Domowy wychodzić będzie w kwartale III-m r. b. na tych samych jak dotąd warunkach prenumeraty. W następnym kwartale drukować będziemy większych rozmiarów powieść, którą napisał Wołody Skiba, *autor tak sympatycznie przyjętych przez naszych czytelników* „**Dziwnych ludzi,**” *oraz powieść* Adama Pługa i autora „Kłopotów Starego Komendanta.” *Inne oddziały pisma naszego również rozszerzone zostały współpracownictwem ludzi, którzy dali dowody, że popularnie techniczne i naukowe przedmioty opracowywać są w stanie. Z działu poezji, jak zapewnie zauważyli czytelnicy, kilku głośniejszych poetów drukowali swoje utwory w piśmie naszem i nadal pomoc Opiekunowi Domowemu przyobiecali. Szereg listów rzemieślnika warszawskiego z wystawy Paryzkiej, w dalszym rozwoju opisów zawierać będzie rysunkowe wyobrażenia przedmiotów, w codziennych życia stosunkach wartość praktyczną mających.*

To więc przyobiecujemy, co obecnie dać jesteśmy w możności. Prenumeratorów z prowincji uprzejmie prosimy o rychlejsze odnowienie zapisów na właściwych stacjach pocztowych, od tego bowiem regularność w odbiorze zwłaszcza pierwszych Numerów w nadchodzącym kwartale, najbardziej jest zawisłą.

KWIAT PAPROCI.

W noc ciemną, w noc straszną jak duchów gromady,
Przez pola Sobótek płonące ogniami,
Szedł młodzian pośpiesznie, cierpiący i blady:
Coś mówił tajemnie, coś groził rękami,
I wzrokiem szalonym spoglądał w około,
I głową potrząsał lub na pierś ją składał,
I dłonią co chwila ocierał swe czoło,
Bo pot mu kroplisty perłami osiadał.
Szedł, biegnął jak wicher, nadzieją pędzony,
Że uszczknie paproci zaklęte cud-kwiecie,
A z kwiatem i władzę i złote korony
I szczęście i wszystkie dostatki na świecie.
Las huczy i szumi i pluszcze gdzieś rzeka,
Puhacze i sowy skrzydłami się biją,
Zwierz wyje ze strachu i w góry ucieka,
Syczące gadziny wśród trawy się wiją.
W najgęstszym zakątku gdzie szemrzą ruczaje,
Młodzieniec potrzykroć święconą wziął kredę,
I koło skreśliwszy na środku w niem staje
I czeka bez trwogi na piekieł czeredę...
Lecz północ wybiła, a paproć nie kwitnie,
I obłok na niebie już widać czerwony;
Więc młodzian w rozpaczy dłoń skurczy i zgrzytnie,
I pada na ziemię snem ciężkim zmożony.
Tu mgliste widziadła przed oczy mu skaczą:
Pies, olbrzym z łańcuchem i rogiem na czole,
Tam straszne z paszczęką jak potwór pacholę,
I kruki ogniste co dziobią i kraczą,
I czarnych z pod ziemi postaci gromada,
I jędza koścista co pożreć go rada.
W tem szmer się rozleciał z zarośli z zagaju,
I srebna piosenka jak flet się ozwała,
A woda w jeziorze i w małym ruczaju
Prysnęła i pianą w obłoki zawrzała.
Z bieluchnych kryształów wypłynie dziewica
Nadobna jak róża wpleciona do wianka,
Że myślisz wzrok topiąc w cudowne jej lica,
Czy z Niebios przed tobą nie stoi posłanka.
Młodzieniec ją ujrzał i westchnął głęboko,
A ona w te słowa ozwie się do niego:
Rozwesel twarz chmurną, rozjaśnij swe oko,
Patrz, słuchaj i pojmuj — jam geniusz dobrego!
Ty kwiatu paproci chcesz dostać na świecie,
A nie wiesz niebaczny że kwiat ten jest marą;
I choć cię los łamie, ty jednak z swą wiarą
Przestajesz i żyjesz jak motyl, jak dziecię.
Ty nie wiesz jeszcze snać co szczęściem się zowie,
Więc słuchaj: myśl wolna bez trosk i goryczy,
I umysł swobodny i rzeźkość i zdrowie,
I kilka choć kropel z kielicha słodyczy
Co w sercu wzajemnem raz tylko — raz płyną....
I uścisk młodzieńca z kochaną dziewczyną,
I praca szlachetna, poczciwość i cnota
Co świętym uczuciom otwiera swe wrota,
Co jasnym promieniem skroń zdobi i złoci,
Młodzieńcze! to szczęście — to kwiatek paproci.

Franciszek Gumowski.

SOBÓTKI. [1]

Piękne są te nasze strony nad Wartą! Szczególnie w porze letniej jakiż tam widok, jakie czarujące obrazy, godne bezwątpienia wytrawnego pędzla artysty lub natchnionej pieśni sielankopisarza. Nie ma tam wprawdzie ani takich skał jak w Ojcowie i Tatrach, nie ma takich dolin jak nad Wiliją i Niemnem, ale są za to okiem nieprzejrzane łany, są zielone lasy, kwieciste łąki, bujne, pochylone kłosy, które żywiąc mieszkańców nadają im energją życia, budzą w nich wesołość i zadowolenie po pracy. To też nie spotkasz tu wyidealizowanych na tle włoskiem lub szwajcarskiem pejzaży, ale zetkniesz się ze wszystkiem co swojskie, ze wszystkiem co ci serce napełni otuchą i wesołością. Lud zdrowy a jędrny, pracowity, rolniczy i gospodarny, na który aż miło patrzeć, miło z nim pogadać o czemcikolwiek dusza zamarzy. Niebo uśmiechać się zdaje do ciebie, takie pogodne i śliczne. Stara, wijąca się Warta tuli się pod twoje stopy i szepce coś i gwarzy — pewno dawne, odwieczne dzieje, tysiącletnie historje. A co tu podań, co legend różnych a nieznanych, ile się tu jeszcze zachowało prastarych obyczajów i zwyczajów sięgających z pewnością bałwochwalskich czasów, o tem wszystkiem trzebaby tomy pisać i drukować, żeby dokładnie tę okolicę poznać, żeby ją ocenić tak jak na to zasługuje. Ale nikną jakoś, czy też zamilkli, pokruszywszy pióra ci zacni mężowie, co to niedawnemi czasy z koszturem w ręku przebiegali nasze sioła i chaty, przysłuchiwali się naszym pieśniom, gadkom i obrzędom; nikną co raz więcej i ci coby je śpiewać umieli, coby umieli opowiadać i przewodniczyć i urządzać dawne tajemnicze uroczystości i obchody. Radźmyż temu jak możemy, bo niedługo gotowe to wszystko zaginąć i runąć w przepaść niepowrotnej przeszłości, a wtedy nie będzie nam miał kto odtworzyć tych pereł, tych skarbów, tej duszy podań, ożywiającej każdy zakątek naszej miejscowości.

Szczupłe ramy niniejszego pisma, nie pozwalają mi na ten raz rozpisywać się szerzej o tym przedmiocie, a słabe siły moje ostrzegają, że nie udźwignę pióra Wójcickiego, Chodakowskiego, Wacława z Oleska i t. p. Pomimo to wstrzymać się nie mogę, abym czytelnikom Opiekuna Domowego nie podał opisu widzianej przezemnie parę lat temu nad Wartą uroczystości ludowej, która głębokie i niezatarte, a dziwnie jakoś rzewne zostawiła we mnie wspomnienie.

Było to dnia 23-go Czerwca. Od rana aż do zachodu słońca upał był niezmierny, gorąco dokuczało tak, że trudno było pokazać się na świecie; ani wiatr nie zawieje znikąd, ani liść się nie poruszy na drzewie, zdawało się że cała natura struchlała, zmarła pod palącymi promieniami słońca. To też za nadejściem zmroku korzystając z jakiego takiego chłodu, wyszedłem na groblę pomiędzy łąki, pomiędzy wody, aby tam orzeźwić się i pełną odetchnąć piersią. Już gwiazdki poczęły migać na lazurowem Niebie, strudzony rolnik ocierając spocone czoło powracał uśmiechnięty do swojej chaty, wesoły pastuch nucąc raźną piosenkę poganiał bydło i trzódę do domu, aż nagle—na całej przestrzeni jak okiem dojrzeć w różnych kierunkach, w różnych miejscach buchnęły stosy płomieni. Łąki, pastwiska, góry i doliny, błyszczały i czerwieniły się tysiącem rozniecónych ognisk, a tryskające i łączące w powietrzu skry, zdawały się przyćmiewać gwiazdy na błękicie. — Około każdego mniej więcej ogniska stało grono wiejskich parobków i dziewcząt, goniąc się z zapalonemi na długich kijach wiechami, śpiewając stósowne do tego obchodu piosnki, tańcząc wzajemnie i przeskakując przez płomień. Czarujący to był widok! Ileż w nim mieściło się życia, ile niewysłowionego uroku i piękności! Zdawało mi się że jakaś woń, że jakiś duch starożytności rozpostarł w tę chwilę swe osiwiałe skrzydła po nad ziemią, a te męzkie i dziewicze postacie przy ogniach, wyglądały jak jakie geniusze, jak opiekuńcze cienie. Chciałem iść do nich, tańczyć z nimi, bawić się i skakać z nimi, aby się dowiedzieć z ich własnych ust o początku i celu tej uroczystości, aby podsłuchać ich piosnki i gadki sięgającej może najodleglejszej przeszłości, ale nie mogłem się z miejsca oderwać. Widok był tak olśniewający, że bałem się najmniejszy ruch jego utracić, a wspomnienia i obraz wieku przed Mieczysławem I-ym, tak silnie cisnął się do piersi i imaginacji, że niepodobna było mi się ruszyć gdzieś dalej. Był to obchód naszej *Sobótki.*

Lud wiejski corocznie w wigilję S. Jana Chrzciciela to jest, dnia 23 Czerwca, wznawia ten obrząd i oddaje mu się z całem zamiłowaniem i wesołością, choć dziś już nie z taką ścisłością przestrzega jego obchodu i nienaruszalności jak niegdyś. Nie tylko trwa on nad Wartą, ale pod nazwiskiem *Sobótki* istnieje w całem Królestwie. Nawet nad Niemnem jako zakończenie święta Lado, znany był pod mianem uroczystości *Rossa* zwanej. U Pińszczan i na Ukrainie po dziś dzień możemy jeszcze widzieć takiż sam obrząd *Kupało* zwany. Układają oni nad brzegiem wody stos z chrustu, lub z łyczanego zdartego obuwia czyli postołów, na stosie stawiają drewniany komin, zapalają przygotowany chrust, a ogień niebawem wybucha i strzela dymnikiem od komina niezliczonemi iskrami. Młodzież klaszcze w dłonie, skacze przez ogień i woła: Kupało! Kupało! śpiewają pieśni zwane *kupalnemi,* a będącemi po większej części treści miłosnej i tańczą z dziewczętami poprzybieranemi w wieńce z różnych ziół uwite, między któremi ziele *chwoszcz,* po polsku *skrzyp,*— przemaga. Wieńców tych używają potem albo do kadzenia przy gospodarstwie, albo też po skończonym obrzędzie idą do wody, i rzucając je na najgłębsze miejsca, wróżą z nich o swoim losie.

Ale nie tylko u nas, nie tylko w całej Słowiańszczyznie obchodzą obrząd Sobótki, jest on w użyciu nawet i u innych narodów, gdzie również uroczyście i wesoło dzień ten szczególnie wybrany przepędzają, z tą różnicą, że u nas więcej mu przydają tajemniczości i cudowności niż gdziekolwiek indziej. Rycina tu przedstawiona wyobraża właśnie jak się Sobótki odbywają w Alzacji we Francji. Widzimy z niej, że obchód także dzieje się w nocy, widzimy jak i u nas palące się ogniska i skaczące, przez środek płomienia pary. Mnóstwo widzów otacza do-

[1] Krótką wzmiankę o Sobótkach w Polsce i Słowiańszczyznie, znajdzie czytelnik w Nr. 25 Opiekuna Domowego z r. 1865, w artykule: Wigilija św. Jana. Tutaj postanowiłem rzecz tę przedstawić obszerniej, wraz z poglądem na obchód Sobótek i u innych narodów.

koła wybrane miejsce, starzy przypatrują się i przypominają sobie dawne młodości lata, dorosłe dziewoje z ciekawością robią uwagi i wnioski i radeby najprędzej puścić się ze swym lubym w niebezpieczne skoki i tany, aby przyszłość odgadnąć, aby wiedzieć czego się na potem trzymać. Dzieci kryją się i uciekają ze strachu, bo w samej rzeczy obraz ten przedstawia nam jakąś dziką, piekielną że tak powiem cechę. Brak tu tej serdeczności i otwartości słowiańskiej.

Cóżkolwiekbądź, wspólność Sobótek prawie wszystkim Europejskim ludom, nastręcza mi uwagę, że kiedyś w odległej starożytności kiedyśmy wszyscy jeszcze stanowili jeden naród, jeden szczep, cześć ognia jako istoty świętej, jako żywiołu twórczego, musiała być znaną i zachowywaną. Po rozejściu się w różne strony ziemi i po podziale na najrozmaitsze gałęzie narodowości, cześć bałwochwalcza ognia została nietkniętą, każda gromada gdziekolwiek się osiadła, czuła się w obowiązku przedłużać ją i rozprzestrzeniać. Lecz czy później ogień ten czczono jako Boga, czy też zapalano go tylko jako cześć dla Boga lub jakiegoś opiekuńczego bóstwa?—nie wiadomo. Historya i podania nic o tem pewnego nie mówią; same nawet pieśni gminne ściągające się do tego obrzędu, nic nie wspominają: kiedy on i w jakim celu powstał, zkąd jego nazwisko i czegoby był pamiątką. — Wiemy tylko, że istnieje od najdawniejszych pogańskich czasów, że jest starożytnym zabytkiem bałwochwalstwa, ale oprócz tego nic więcej. Najobszerniej u nas rozwiódł się o Sobótkach, Marcin z Urzędowa. Rej także o nich wspomina. Narbut wyprowadza wyraz Sobótka od *sobit*, co znaczy: przysposabiać, zasób czynić, czyli przyspasabianie się do prac rolnych, do kośby, p. K. W. Wójcicki robi domysł, że może to był słowiański obrządek *Rusałek*, ponieważ niektóre pieśni sobótkowe polskie, podobne są do czeskich pieśni o rusałkach. Inni znów utrzymują, że ludzie wdzięczni Bóstwu za dobrodziejstwa rozlane w przyrodzie, zbierali się na górach, w zielonych gajach, na kwiecistych łąkach lub nad brzegami rzek i tam czcili najwyższą Istotę pieśnią, tańcem i ogniem. Nie siląc się przecież na odkrycie tego czego odkryć niepodobna, dodam tylko to, że Sobótka jako obchód słowiański, narodowy, nie powinna być zaniedbywaną lub wykorzenianą, ale owszem—rozprzestrzenianą i wznawianą.

Franciszek Gumowski.

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE

(*Ciąg dalszy*—patrz Nr. 24).

Serce mi się ścisnęło, nie mogłem przenieść tego widoku. Drapieżne zwierzę zadające sobie najstraszliwsze męczarnie dla uwolnienia się od śmierci, którą musiało przewidywać, wzbudziło we mnie litość.

Ani na chwilę nie pomyślałem o uwolnieniu jej z tych męczarni przez przyśpieszenie jej śmierci; zapomniałem o niebezpieczeństwie jakie mi to grozić mogło, o horoskopie, o wszystkich obawach, które mnie przez kilka lat nieustannie dręczyły....

W mgnieniu oka odrzuciłem od siebie drąg, który był jedyną obroną, przyskoczyłem do żelaz, i wiedząc jak się otwierały, przywróciłem wolność zwierzęciu.

Uwolniona wilczyca jednym skokiem postawiła przednie łapy na moich ramionach.

Wtedy dopiero poczułem raczej niż spostrzegłem całe niebezpieczeństwo mego postępku, całą nierozwagę mojej litości.

Byłem bezbronny, przejęty, nagłym skokiem wilczycy przerażony. Straciłem przytomność i równowagę, padłem na wznak, czułem zimny język zwierzęcia dotykający mojego policzka....

Więcej nie pamiętam.....

Nie wiem ile czasu ubiegło, ale słońce już było dość wysoko, gdym przyszedł do siebie.

Rozglądałem się w koło niedowierzając czy żyję jeszcze. Zdawało mi się że to co zaszło było snem, to znów, że spostrzegam po za krzakiem oczy wilczycy, że słyszę jej wycie, że czuje jej język na mej twarzy. Widok żelaz przekonał mnie wkrótce, że to czegom doznał snem nie było, a przeświadczenie o tem natchnęło mnie obawą, ze niebezpieczeństwo choć chwilowo minęło, powrócić może.

Przejęty trwogą, co sił puściłem się ku domowi.

Kiedym przychodził, pies którego trzymał mój ojczym spostrzegłszy mnie, rzucił się na mnie szczekając zajadle, choć zwykle łasił się wesoło i lizał mi ręce ile razy powracałem. Nie pojmowałem co znaczy ten gniew jego. Byłby mnie ugryzł, gdybym nie zaczął wołać na niego. Poznawszy mój głos, odbiegł odemnie parę kroków i patrząc na mnie z podełba, wył żałośnie.

Przyczynę tej nagłej nieprzyjaźni Kruczka zrozumiałem dopiero gdym wszedł do izby — byłem powalany krwią wilczą.

Spostrzegła tę krew macocha, uderzył ją widać mój przestrach, pomięszanie w jakiem powracałem zdyszany i zawołała:

— Jasiek, a tobie co?....

— Wilczyca — mogłem tylko wymówić i osłabiony upadłem na łóżko.

Dość długo niepodobna było słowa ze mnie wydobyć; w godzinę może dopiero zdołałem opowiedzieć co zaszło, wyznając w jaki sposób wilczycę uwolniłem z niewoli.

W dziecinnej mojej głowie długo się jeszcze potem pomieścić nie mogło, jakim sposobem moje proste i naturalne opowiadanie, wprowadziło mego ojczyma w gniew najstraszliwszy.

Nigdym nie widział go w takiej passji: Oczy mu krwią nabiegły, zęby się ścisnęły, głosu nie mógł z piersi wydobyć, tylko mu coś w gardle zahrapało okropnie i z ściśniętemi konwulsyjnie pięściami, rzucił się na mnie.

Macocha również może jak ja przestraszona, usunęła się do kąta.

Gdy pierwsze uderzenie jego pięści spadło mi na plecy, byłem pewny że zabije. Instyktem raczej niż świadomie usuwając się przed jego razami, znalazłem się za progiem.

Wtedy mój ojczym kopnął mnie silnie nogą w plecy i zatrzaskując drzwi za mną, zawołał okropnym głosem:

— Precz, nie pokazuj się tu więcej!...

Nie wiem czy mówiąc te słowa, myślał mnie naprawdę wypędzić z domu na zawsze; widząc go jednak w takiem uniesieniu, w jakiem go nigdy jeszcze nie widziałem, wziąłem ten rozkaz na serjo i lasem poszedłem w świat, nie myśląc na nowo narażać się na jego razy.

Później zrozumiałem powód gniewu mego ojczy-

ma. Wypuszczeniem wilczycy pozbawiłem go nagrody pięcio-rublowej i tego co za skórę zwierzęcia mógł dostać. W każdym więc razie czekałaby mnie kara, bo taka strata dla mojego ojczyma była ogromną, byłby się przecież obszedł ze mną łagodniej gdyby nie to, że podówczas najgwałtowniej potrzebował pieniędzy.

Długoby było opowiadać, jaką drogę odbyłem idąc przez las, ja dziesięcio-letni dzieciak, bez grosza, lub kawałka chleba w kieszeni, potłuczony, z guzami na głowie, z siniakami na ciele i z myślą przepełnioną okropnemi obrazami.

Gdzie szedłem? nie wiedziałem, jak długo szedłem? nie pamiętam, którędy? nie obchodziło mnie to wcale. Tego tylko jednego byłem pewny, że w tej drodze spotka mnie śmierć w wilczej skórze.

Mam to szczęśliwe usposobienie, że pewność grożącego niebezpieczeństwa, choć z początku rodzi we mnie obawę i mało przytomności nie odbiera, przecież w końcu przeradza się w determinacją i zdanie się na los.

— No i cóż — myślałem, ma mnie zjeść wilczyca, to trudno, nie moją głową na tak straszną biedę poradzić. Wypędzili mnie do lasu, a ten las może niema końca, i co krok mogę napotkać wilka, a czy go spotkam prędzej albo później, czyż to w gruncie nie wszystko jedno. Zawsze przyjdę na jego zęby, już inaczej nie może być. Bądź co bądź, nie będę się dawał dopóki będę mógł, a jak nie poradzę to już nie moja wina. Tymczasem nie mam powodu bać się niczego. Nic straszniejszego od zębów wilczycy spotkać mnie nie może, a gdyby nawet coś takiego spotkało to i toby wyszło na dobre, bo zginąłbym inakszą śmiercią.

Każda inaksza śmierć wydawała mi się wówczas igraszką w porównaniu z tą, na jaką mnie skazywał baran z niebieskiego zwierzyńca.

Szedłem tedy śmiało i bez obawy. Gdy mi dokuczał głód mówiłem sobie:

— Ha! umrę z głodu, zawsześ to nie od wilczycy.

Gdy w nocy zaczęło mi straszliwiej jeszcze niż w dzień dokuczać zimno, myślałem:

— Mniejsza z tem, lepszy mróz niż wilk!

Naturalnie, że z taką rezygnacją można zajść daleko, więc niedziw że do końca lasu doszedłem.

Było to jakoś nazajutrz koło południa.

Kiedy oczom moim z po za rzedniejących drzew ukazało się szerokie pole, serce mi inaczej bić zaczęło, nogom osłabłym nowych przybyło sił, skrzydeł prawie i zapomniałem o głodzie, o strudzeniu, o zimnie, o planecie.

Wyszedłem z lasu i z daleka prosto przedemną narysowała się ku krańcowi widokręgu wieś. Postanowiłem więc pójść do niej, nim jednak wykonałem to postanowienie, zwróciłem się jeszcze raz ku lasowi, roześmiałem się na cały głos i pokazałem figę wilczycy.

Nie było moim zamiarem pozostać długo we wsi, do której zmierzałem. Chciałem się tylko tam posilić, czem będzie można i pójść dalej.

Wtenczas dopiero po wyjściu z lasu, pierwszy raz zadałem sobie pytanie:

— Pójść dalej?.... gdzie?....

Dziecinny mój rozum odpowiedział wówczas na to pytanie o ile pamiętam, w ten sposób:

— Żeby mnie wilczyca nie zjadła, powinienem być zawsze tak daleko od lasu, jak tylko być może, ot tak, żeby tam gdzie będę, ludzie nawet nie słyszeli o wilkach, albo żeby tutaj był jeden koniec świata, a las na drugim końcu. To też będę szedł tak długo wymijając wszystkie lasy, aż dopóki tak daleko nie zajdę, że przez trzy dni żadnego boru żadnego gaju nie zobaczę. Tam już będę bezpieczny.

Z takiem postanowieniem przyszedłem do wsi



Sobótki w Alzacji (Francji.) — (do str. 194-ej).

i do pierwszej chałupy wszedłem, prosząc żeby mi się ogrzać pozwolono i choć kawałek chleba dano.

Natrafiłem na jakichś poczciwych ludzi, którzy nie odepchnęli biednego dziecka, lecz szczerze się mną zajęli, karmili, grzali, a obsypywali zapytaniami:

— A jak ci na imie? a zkądeś ty? a gdzie idziesz? a czyj ty?

Gdy mi przyszło odpowiadać na te życzliwe pytania, nie mogłem sobie wybić z głowy, że jeżeli powiem prawdę to mnie jeszcze na wóz wsadzić

gotowi i do ojczyma Wilka odesłać. Bałem się tego niezmiernie i gdyby do tego przyjść miało, jestem pewny, że uciekłbym nazajutrz dla tego tylko, żeby nie mieszkać w lesie. W pierwszej wsi do której doszedłem, las rysował się na krańcu horyzontu tak wązkim pasem i z jednej tylko strony, że zacząłem wierzyć iż muszą być miejsca, w których go zupełnie nie widać. Tam iść pragnąłem, a wróciłbym się nie chciał za nic w świecie. To mnie skłoniło, żem na żadne pytanie prawdy nie powiedział, tylkom zmyślił: że mi na imię Walek, że jestem z Wólki, że idę do Lipek, że mój ojciec jest kowalem w Wólce i posłał mnie do swego brata, co jest ogrodnikiem w Lipkach.

Żadnej Wólki ani żadnych Lipek nie znałem, i nie było w okolicy. Zmyśliłem sobie te nazwiska, na taki sposób jak się inne wsie nazywały. Słyszałem w karczmie u ojczyma o różnych wsiach, o Olszynkach, o Woli, nie wiedząc gdzie się znajdują, więc myślałem sobie:

— Kiedy może być Wola, to może być Wólka, kiedy gdzieś są Olszynki, to mogą być gdzie i Lipki.

Ludzie słysząc o wioskach, których w okolicy nie było, kiwali głowami i litowali się nedemną.

— Biedne dziecko!.... z tak daleka wędruje samo.

To znów pytali:

— A gdzież to te Lipki, do których idziesz?

Ukazywałem palcem w stronę przeciwną lasowi.

— Tam.... to pewno z jakie trzy mile....

— O! będzie pewno ze sześć mil — odpowiadałem, nie wiedząc nawet dobrze co to jest mila.

— I jakże ty tam trafisz sam jeden?

— Oho! znam drogę, alboż to ją raz robiłem.

— Ale ty nie masz nic, ani grosza, ani kawałka chleba. Czemuż ci tatulo nie dali?

— Tatulo sami nie mają nic.

W taki lub podobny sposób wywikływałem się z zadawanych mi zapytań i szedłem coraz dalej, coraz dalej, żywiąc się tem co mi litość podała.

Kiedym przychodził do jakiej wioski, najpierw upatrywałem jakiego chłopca lub dziewczyny mniej więcej w moim wieku, — do takich jakoś najwięcej miałem śmiałości i zapytywałem:

— Słuchaj-no, a znasz ty wilka?

— A znam — odpowiadało dziecko.

— A jak wygląda?

— No, jak pies.

Takiej rozmowy było mi dosyć. Gdym ją usłyszał, postanawiałem natychmiast, że za nic w świecie nie pozostanę w tej wiosce. Szukałem więc tylko gościnności i posiłku, a wypoczęwszy przez noc, pożywiony kawałkiem chleba lub trochą kartofli, szedłem dalej, a zawsze do Lipek.

Gdym przyszedł do jednej wioski o zmierzchu i dowiedziałem się już że w niej znają wilki, poszedłem do jednej chaty jak zwykle prosić o gościnność.

— A czyj ty? — zapytał mnie gospodarz.

— Walek, kowala z Wólki — odpowiedziałem jak zazwyczaj.

— A łżesz — usłyszałem odpowiedź.

Ciało mi zsierstniało ze strachu. Myślałem że tu już pewno poznają mnie kto jestem i do karczmy w lesie odeszlą.

Zamilkłem, nie wiedząc co powiedzieć.

— Łżesz mówię tobie — prawił dalej gospodarz, Wólka jest tutaj, ja jestem kowal, a ty przecie nie mój!.... Mój Walek, patrzaj, włazi na piec... Chodź no tu Walek.

Syn prawdziwego kowala z Wólki, rzeczywisty Walek, wylazł z kąta i przybliżył się do mine.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Listy z podróży na wystawę paryzką.

IV.

Paryż 27 Maja 1867 r.

Pan Paweł, o którym przy końcu poprzedniego listu wspomniałem, pokazawszy w wypukłem zwierciedle rysunek pierwszego lepszego budynku jaki się w nim odbijał, zaczął mi z wielką prawdziwie francuzką gadatliwością dowodzić, że nie mam po co iść na wystawę.

— Dowcipny to naród ci Francuzi — mówił, lubią sobie drwić z Europy.

— Jakto, więc wystawa to drwiny?... — rzekłem przerażony, drżąc o najpiękniejsze nadzieje przyjrzenia się tylu cudownym rzeczom.

— Drwiny, powiadam tobie panie, drwiny, nic więcej. Zamknęli w wielkiej szopie mnóstwo najrozmaitszych rzeczy i dają je cudzoziemcom oglądać za pieniądze, śmiejąc się z nich w duchu, że się na tę wędkę złapali i myślą, że we Francji daleko ciekawszych rzeczy nie ma na każdym kroku do oglądania bezpłatnie.

Z tej uwagi przekonałem się, że mój przyszły przewodnik cierpiał na ten rodzaj choroby powszechnej dziś we Francji w pośród klass mniej pracujących umysłowo, na chęć ubierania w dowcip i obracania w żarcik najpoważniejszych rzeczy.

Pod przewodnictwem pana Pawła poznałem wkrótce Paryż i wystawę, najdokładniej jak on mówił. W ciągu niewięcej jak dni dziesięciu, zwiedziłem nie tylko Plac Marsowy, lecz całe miasto. Byłem na Bulwarach, na Placu Zgody, na Polach Elizejskich, widziałem pałac ciała prawodawczego, hotel inwalidów, pałac przemysłu, łuk tryumfalny. Przechadzałem się po lasku Bulońskim, przeszedłem wzdłuż ulicę Rivoli, zwizytowałem Palais-Royal, Kościoł panny Marji, pałac sprawiedliwości, przemknąłem się przez mnóstwo sal Louvru, byłem w Kościele Germain Auxerrois i w ogrodzie tuileryjskim. Panteon, muzeum i ogród luksemburski, Kościół świętego Sulpicjusza, *Jardin des Plantes* i *Jardin d'acclimatation*, fabryka gobelinów i cmentarz *Père Lachaise*— kolejno otwierały mi swe bramy. Robiłem wycieczki do Sèvres, St. Cloud i Wersalu, do St. Germain podobnież. Byłem zmęczony, wydałem dosyć pieniędzy, chwili nie straciłem, a przecież kiedym zasiadł do pisania przeszłego listu, kiedym zaczął sumiennie badać swoje wspomnienia, przekonałem się, żem nie widział nic, chociaż już widziałem wszystko.

Spostrzegłem tedy, że popełniłem błąd, że powróciwszy do Warszawy, będę tylko tyle wiedział o wystawie,—że jej katalog waży kilka funtów i o Paryżu,—że ma więcej ulic, aniżeli Warszawa ma domów.

Postanowiłem ten błąd naprawić! Za pomocą pana Pawła i innych jeszcze stosunków jakie miałem, wystarałem się o robotę, mogąca mi zapewnić przez czas jakiś utrzymanie w Paryżu i teraz czas wolny obracam na przypatrywanie się rozumne temu wszystkiemu, na co oszołomiony nawałem najrozmaitszych nasuwających mi się przedmiotów, miałem czas dotąd rzucić tylko okiem pobieżnie.

Widzę wyraźnie, że mi się jaśniej robi w głowie przy tem zapatrywaniu się powtórnem i dla tego z wiekszą już otuchą przystępuję do dalszych listów.

Pałac wystawy leży na Polu Marsowem, które jest jednem z największych placów Paryża. Nie próbowałem, ale sądzę że chcąc go obejść do koła, potrzebaby przynajmniej dobre pół godziny. Wielkość placu, mającego tysiąc kilkaset łokci długości, a z pięćset kilkadziesiąt szerokości, mogącego zatem pomieścić na swej powierzchni tłum siedmkroć sto tysięczny, daje dostateczne wyobrażenie o rozmiarach gmachu i parku, który na tym placu się mieści.

Gmach sam obejmuje ogromną powierzchnią około 14,000 metrów kwadratowych. Pamiętamy wszyscy rysunki przedstawiające pałac kryształowy londyński, zbudowany podług planu ogrodnika Paxtona. Nie powiem żeby dzisiejszy pałac wystawy był ładniejszym od dawniejszego, którego kształty tak żywo mi się wyryły w pamięci, to jednak pewna, że pomimo wszystko co zarzucają dzisiejszemu pałacowi, jest on gmachem imponującym i zrobił na mnie wrażenie, do którego jako człowiek prosty i niemający pretensji do znawstwa z całą szczerością się przyznaję, a gdym zobaczył jego rozkład, przyszedłem do przekonania, że niepodobna nawet było trafniej i dowcipniej odpowiedzić trudnemu zdaniu, jakie miał przed sobą budowniczy, a które tu w krótkości wyłożę.

Ażeby wystawa była rzeczywiście pożyteczną, a zwiedzanie jej było jak najbardziej ułatwione ludziom myślącym, potrzeba ażeby zwiedzający ją mógł o ile możność najłatwiej dojrzeć ogólny postęp jednej gałęzi przemysłu i sztuki na całym świecie, oraz rozwój wszystkich gałęzi przemysłowych jednego kraju. Ztąd wystawa podzieloną być musi na działy: raz według rodzaju wystawionych przedmiotów, drugi raz według narodów. Jaką jest trudnością zaprowadzić taki podział, przekonać się łatwo może każdy, kto ma choć po kilkanaście książek w kilku językach w swojej biblioteczce, jeżeli zechce je ułożyć w ten sposób, żeby książki w jednym języku były obok siebie i książki jeden przedmiot traktujące nie były oddzielone jedne od drugich. Zadanie to nie jeden nazwałby nierozwiązalnem, tak przecież nie jest i przypatrzywszy się rozkładowi pałacu wystawy, można je z łatwością rozwiązać, kładąc na jednej pułce książki polskie, na drugiej francuzkie, na trzeciej niemieckie i w ten sposób je porządkując, żeby naukowe były nad naukowemi, powieści nad powieściami, poezje nad poezjami i tak dalej.

Takież samo zadanie i w ten sam sposób rozwiązał budowniczy pałacu wystawy, a choćby sobie człowiek nie wiem jak głowę łamał, innego rozwiązania nie wymyśli. Dla tego też wszystkie krytyki, jakich począwszy od dziennikarzy najpoważniejszych, aż do mojego pana Pawła, nikt nie szczędzi pałacowi,—wydają mi się nie na swojem miejscu. Pałac wystawy jest takim jak być powinien, dla tego, że gdyby był innym; nie byłby dla wystawy dogodnym.

Rozkład wewnętrzny pałacu wystawy podobnym jest bardzo do cyrku, jak to widać z rysunku, który tutaj załączam. Główną różnicą jest to, że ma formę owalną, a nie okrągłą jak cyrk. W środku znajduje się ogród centralny, tak jak w cyrku miejsce usypane piaskiem, które jest właściwą sceną. Dokoła tego ogrodu idą jedna po drugiej owalne galerje, coraz szersze i dłuższe, zupełnie jak w cyrku: miejsca numerowane, loże, tak zwane pierwsze miejsca, drugie, trzecie, galerja. Wszystko to w cyrku wznosi się w górę tutaj znajduje się na tym samym planie. Największą z galerji jest przedostatnia od środka galerja machin, mająca 35 metrów t. j. blisko 61 łokci szerokości, wysoka na 22 metry (przeszło 38 łokci), a długa do koła na 1,200 metrów czyli blisko pięć ćwierci wiorsty.

Wszystkich takich galerij jest siedm.

Pierwsza bez pośrednio opasująca ogród centralny, obejmuje dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, medale, rysunki i modele architektoniczne, sztychy i litografje.

Każda z następnych galerij pierścieniem opasuje poprzednią.

Drugą z rzędu licząc od środka, jest galerja sztuk wyzwolonych. Tutaj się mieszczą druki, książki, wydania odznaczające się taniością, użytecznością lub przepychem, pisma perjodyczne, zbiory dzieł stanowiących bibljoteki specjalne, rysunki, atlasy i albumy techniczne lub pedagogiczne; dalej płody przemysłu papierniczego, roboty introligatorskie, przybory dla malarzy i rysowników; dalej wszystko co stanowi zastosowanie rysunku i rzeźby do rzemiosł, następnie fotografje, aparata i materjały fotograficzne, instrumenta muzyczne, aparata i instrumenta medyczne, chirurgiczne, dentystyczne, weterynaryjne, przyrządy do ratowania utopionych, zaduszonych, przyrządy łazienne i do kuracji wodnej, wozy do przewożenia chorych i t. p. dalej w skład tej samej galerji wchodzą instrumenta naukowe do geometrji praktycznej, miernictwa, topografji, geodozji,

instrumenta astronomiczne, wszystkie przyrządy do nauk ścisłych jak fizyka, meteorologja, optyka, modele i instrumenta techniczne, zbiory do nauki historji naturalnej, anatomji i t. p. Dalej znów mappy i apparata jeograficzne, globy, prace statystyczne, tabelle i rachunki astronomiczne, żeglarskie etc.

Umyślnie wyliczam tu ogólnie wszystkie mniej więcej rodzaje przedmiotów znajdujących się na wystawie, ażeby dać czytelnikom jakie takie pojęcie tego ogromu przedsięwzięcia, tego lasu różnych rzeczy, z których każde prawie zasługuje na uwagę; a które wszystkie budowniczy pałacu miał poumieszczać tak, żeby wpadały w oczy i łatwo się dały odszukać, które wszystkie zwiedzający wystawę mają zobaczyć i poznać, ja zaś podjąłem się opisać. Łatwo ztąd będzie pojąć, że nielada zadaniem było tutaj zadanie budowniczego, tak samo jak nie łatwem jest wcale zadanie zwiedzającego i moje.

Galerja trzecia mieści: meble, roboty tapicerskie i dekoracyjne, kryształy, szkła, okna, porcelany, fajanse, dywany, materje do obijania mebli, obicia papierowe, papier kolorowy, roboty nożownicze, złotnicze, bronzy, i t. p., odlewy, zegary i ich części składowe, aparata i przyrządy do oświecenia i ogrzewania, kosmetyki, — roboty galanteryjne skórzane, stolarskie, koszykarskie, grzebieniarskie i t. p.

W czwartej galerji znajdują się: tkaniny bawełniane, lniane, wełniane, jedwabne, szale, koronki, tiule, hafty, szmuklerzczyzna, towary tkackie, bielizna, wyroby flanelowe, drobne przedmioty tualety, krawaty, rękawiczki, obuwia, wachlarze, parasole, laski, gotowe ubrania, wyroby jubilerskie, broń palna, sieczna, kłująca i wszystko co do jej wyrobu i użycia należy, przybory podróżne, myśliwskie, obozowe, a wreszcie zabawki dziecinne.

Po tej eleganckiej galerji, następuje galerja produktów surowych i przerobionych. Są tu płody górnicze i hutnicze, leśne, myśliwskie, rybackie, rolnicze (z wyjątkiem artykułów żywności), chemiczne i aptekarskie, a wreszcie zwierzęce, to jest skóry, struny i t. p.

Szósta najobszerniejsza galerja mieści machiny i narzędzie służące do górnictwa, rolnictwa, leśnictwa, łowiectwa, rybactwa, przemysłu chemicznych wyrobów, farmacji, garbarstwa; machiny i aparta ogólnej mechaniki w całości lub częściach składowych, narzędzia robotnicze, warsztaty i przyrządy do przędzenia tkanin, szycia, wyrobu mebli, fabrykacji papieru, farbiarstwa, drukarstwa, powozy, wozy i ich części składowe, roboty rymarskie i ostrogarskie, materjały do dróg żelaznych począwszy od lokomotyw aż do rysunków i planów, przyrządy telegraficzne, narzędzia inżynierskie i budownicze, przybory do żeglugi i ratowania tonących ludzi, rozbijających się okrętów i t. d.

W ostatniej galerji znajdują się artykuły zywności: zboża, kasze, mąki, pieczywo, mleko, jaja, oleje i oliwy, mięso, ryby, jarzyny, owoce, trunki owocowe, roślinne, mleczne, cukrowe, spirytualne i t. p. W tej galerji zwanej alimentarną i opasującej cały pałac, mieszczą się również restauracje urządzone na sposób wszystkich narodów, które wzięły udział w wystawie.

Kto zatem chce studjować obecny stan jakiej gałęzi przemysłu na całej kuli ziemskiej, ten potrzebuje obejść dokoła galerją, w której się mieszczą przedmioty do tej gałęzi przemysłu należące. Artysta pewno najwięcej czasu przepędzać będzie w pierwszej, dla mnie najmilszą jest szósta, rolnik udałby się do piątej, dla kobiet najponętniejsza czwarta.

Niemniej jednak ciekawem i nauczającem dla wielu zwiedzających jest zobaczyć, jakim też w ogóle jest udział ich kraju w wystawie całego świata, w jakiem stosunku znajduje się przemysł ich ojczyzny do przemysłu krajów ościennych albo przodujących postępowi. Co także mają ułatwiony swój przegląd.

Cały pałac jest poprzedzielany ulicami prostemi, prowadzącemi z ogrodu centralnego na zewnątrz, w kierunku promieni tego owalu jaki stanowi gmach wystawy. Po obu stronach tych ulic znajdują się przedmioty należące do narodu, którego nazwisko nosi ulica—idąc więc taką ulicą, można obejrzeć cały udział, jakiego bądź narodu w wystawie powszechnej.

Przy jakimkolwiek innym kształcie pałacu, niepodobna byłoby tego wszystkiego z taką dogodnością pomieścić. Gdyby naprzykład galerje szły w linji prostej równolegle, nie możnaby nigdy tak prędko i tak łatwo dostać się z wystawy jednego państwa na wystawę drugiego, co teraz jest najłatwiejszem. Kto raz wszedł do pałacu, a nawet kto raz tylko widział jego rysunek, już w nim zabłądzić nie może. Gdyby budowniczy gmachu wystawy ubiegał się przedewszystkiem za pięknością zewnętrzną, mógłby był bardzo łatwo zbudować labirynta. Myśl prosta jest piękniejszą od myśli zagmatwanej, a tu było nielada trudnością uniknąć zagmatwania i wywiązano się z tego szczęśliwie. To też choć ludzie zasadzający wszystko na dowcipkowaniu śmieją się z pałacu, ja w nim znalazłem to czego mu potrzeba. Teatru warszawskiego pod względem rozkładu wewnętrznego nigdy zrozumieć nie mogłem, tyle tam schodów, schodków, korytarzy, galerij, przysionków, ustępów i kryjówek, a gmach któryby dziesięć takich teatrów mógł pomieścić, mam w jednej chwili w głowie i gotówbym pociemku trafić do każdego z jego zakątków. Widać też, że to otwarta głowa ten co go budował, kiedy tak trafić umiał do najprostszego umysłu,—a że się ludzie śmieją, to już ich natura śmiać się z tego czego nie rozumieją, albo z tego co na pozór tak proste jak jajko Kolumba, a czego przecież nikt przed Kolumbem nie zrobił.

Naturalnie, że nie wszystkie działy narodów są sobie równe. Francja, gdzie najwięcej było łatwości w przysłaniu przedmiotów, zajęła dla siebie prawie połowę gmachu położoną na lewo od głównego wejścia. Jest to przestrzeń którą na rysunku załączonym oznaczyłem literami A. A. A.; dalej pod B mieści się wystawa płodów kolonij farancuzkich; pod C, Holandja i Belgja. Po drugiej stronie, w prawej połowie gmachu leżą Prusy D; inne państwa niemieckie E; Austrja F. Za Austrją idą w dalszej kolei państwa, których dla braku miejsca nie oznaczałem literami, a mianowicie: Szwajcarja, Hiszpanja, Portugalja, Grecja, Danja, Szwecja, Norwegja, Rossja, Włochy, Państwo Kościelne, Księstwa Naddunajskie, Turcja i Egipt, Chiny, Japonja i Siam, Persja i Azja środkowa, Afryka i Australja, Stany Zjednoczone, Meksyk i Ameryka środkowa; a następnie pod literami Z. Z. Z. jeden z największych działów zajmują kolonje angielskie i Anglja, położona tym sposobem tuż naprzeciw Francji, na prawo głównego wejścia.

Józef Niepowie.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu W. Ol.* Wierszyki „*Fijołek*“ i „*Promień nadziei,*“ nie noszą żadnej wybitniejszej cechy i dlatego w Opiekunie Domowym drukowane nie będą.

— *Panu J. W. P. w Żach.....* Artykułu, jako ścisle naukowego, drukować nie będziemy; ale o opis roślin używànych w przemyśle lub w medycynie prosimy.

—*Panom J. K. czeladnikowi z Krakowskiego - Przedmieścia i czterym jego towarzyszom.*

Prima Aprilis są to wyrazy łacińskie i znaczą po swojsku pierwszy Kwietnia. Otóż dawniej u Rzymian był bożek śmiechu i wesołości, na którego cześć ustanowione było święto pierwszego Kwietnia i w którym to dniu pomiędzy innemi sposobami do podbudzenia śmiechu i wesołości zwodzono się nawzajem, przy wykryciu kłamstwa mówiąc: *Prima Aprilis*. U nas do tej nazwy do dano jeszcze po polsku słowo: *nie czytaj bo się omylisz* — dla tego, że zwykle rozsyłano listy w których nic nie pisano tylko: *Prima Aprilis*.

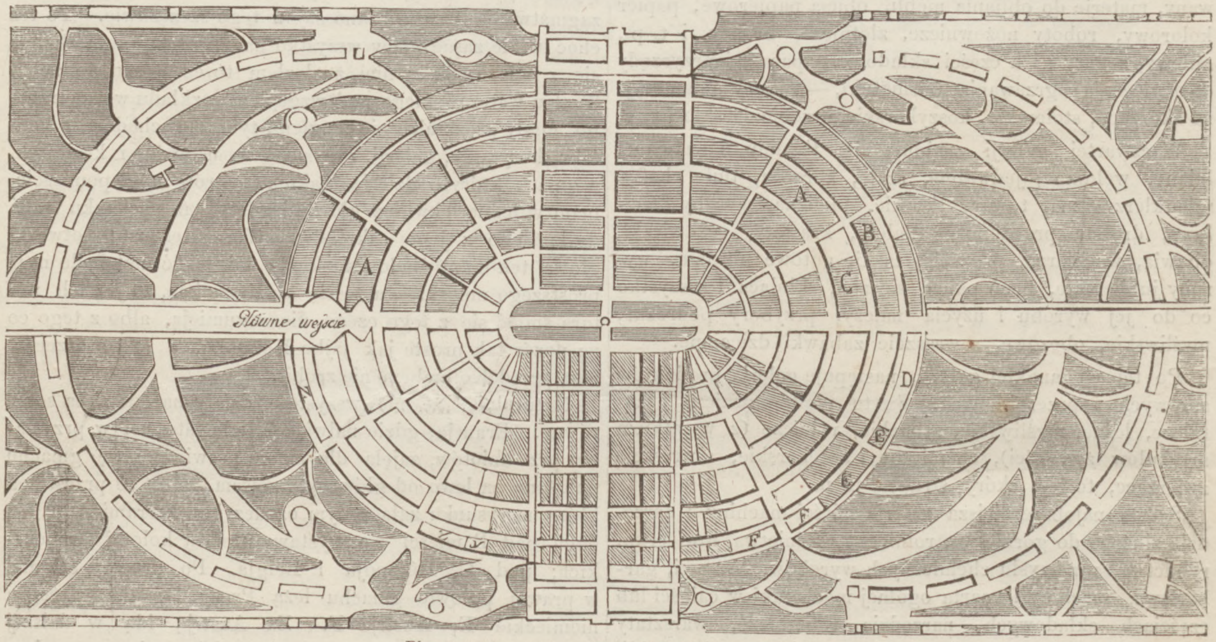
Zwyczaj oblewania się wodą co drugie święto Wielkiej nocy czyli *śmigus* albo *dyngus*, jest zwyczajem czysto polskim i tak dawnym, że nawet niemożna dojść z jakiego powodu mógł on powstać.

Do wyuczenia się grać na harmonice zwyczajnej niema żadnych stałych przepisów. Kto ma dobry słuch i zdolność wyśpiewania wszystkich tonów, ten przy wytrwałości i ciągłej wprawie może wyuczyć się wiele sztuczek, nawet trochę trudniejszych.

Wiersze, które pan nazywasz historycznemi i nadal umieszczać będziemy, ale takich długich poematów jak Grażyna, drukować nie możemy.

Powieści Korzeniowskiego są dobre, ale prawie wszystkie kilko tomowe — więc długie, i dla tego przedrukowywać ich nie możemy. Ponieważ zaś panowie chcecie czytać te powieści, to najlepiej zgłoście się do której z czytelni bezpłatnych przy Ochronach kszej części i jedno i drugie w małym stopniu posiadają: ztąd wszystkie przyczyny złego w teraźniejszych małżeństwach.

— *Pani Marji z M. M. w Suwałkach.* Obszerny list pani wywołany ukazaniem się w 14-ym Numerze „Opiekuna" artykułu p. n. „Gospodyni", obok największych prawd, mieści w sobie kilka rażących niekonsenkwentności. Pochodzi, to jak się zdaje, z tej głównie przyczyny, że pani z kilku przykładów wziętych z życia, przykładów które może panią dotkliwie obchodzą, wyprowadzasz powszechne prawo, że wszyscy mężowie „są absolutnymi satrapami rodzin swoich." Wychodząc z tego punktu, naturalnie że przyczynę wszelkiego złego widzieć będziemy w mężczyznach, a nieszczęśliwe—uciśnione ofiary, w kobietach. Na ten temat najpłaczliwsze wyśpiewano już jeremjady, najnamiętniejsze wypowiedziano filipiki, to tylko szczęście że dziś nikt im wiary żadnej nieda. Mężczyzna ma swoje, kobieta swoje obowiązki, i jedna płeć i druga brnie w wadach i przywarach wszelkiego rodzaju, wady te jednak w równym udziale obu płciom się dostały, i grzeszyłby ciężko, ktoby jedną płeć chciał uniewinnić kosztem drugiej lub z kilku faktów wyprowadzał wnioski o całym ogóle. I kobiety i mężczyźni są dzisiaj na błędnej drodze, a autor artykułu „Gospodyni" nie myślał zwalać całej winy na barki kobiet, jak pani utrzymujesz, bo też pisząc o gospodyni li tylko małżonkę miał na względzie. Jak się zaś na mężów i ich obowiązki zapatruje—pokaże przygotowany do druku artykuł p. n. Mąż.



Plan gmachu wystawy Paryzkiej, (do strony 199-ej).

w Warszawie istniejących, a tam wam wypożyczą te książki do przeczytania darmo.

Autor powieści „Sukcesorowie" nazywa się Wilczyński.

Rebusów dawać nie możemy.

Kotolik jest to wyraz wzięty z języka greckiego— znaczy zaś *powszechny*.

— *Panu Czeladnikowi szewckiemu z Marszałkowskiej ulicy*: *Kilku myśli jego* wydrukujemy; inne niemogą być drukowane.

—*Panu Lorakowi.* Ponieważ rodzaj gry w domino zwany vingten jest także grą w domino, zatem to co powiedzieliśmy o grze w domino w N-o 18-m naszego pisma, stosuje się w zupełności i do *Wętena*. Jeżeli zaś ono stało się dla kogoś pospolitem i ciągłem zajęciem, nadto jeżeli wspomaga się jeszcze oszukaństwem, w takim razie, zgodnie z Panem, zaliczamy tę grę do rzędu pospolitych szulerek.

—*Pannie Karolinie z nad Wilji.* Z listu pani wyciągamy następny wniosek: że mężowie tegocześni nic nie warci, że każdy z nich jest względem żony tyranem, a co najmniej niesprawiedliwym; żony zaś te posiadają klejnot „przez mędrców uważany za rzecz zbyt małej wagi, a przez głupców nie poznany. "Tym klejnotem-serce. Prawda, serce zacne i kochające jest prawdziwym—klejnotem w kobiecie. Nie należy jednak ani przesądzać jego wartości, ani co większa, utrzymywać, że wszystkie kobiety posiadają ten klejnot. Serce nie wsparte rozumem, może się wydać nieoszacowanem dla marzycieli i sentymentalnych umysłów, w życiu jednak, raczej szkodę niż pożytek przynosi. Kobietom naszym nie brak serca, ale brak często nauki, brak racjonalności; mężczyzni zaś po wię-

— *Panu z pod Książa.* Obejrzenie się na młodość, podobne bywa częstokroć odwiedzinom grobu przyjaciela, któremu wyrządziliśmy wielką krzywdę i który opuścił ten świat nim nastąpiła zgoda. Oto nasze zdanie, którem odpowiadamy na pańskie „*Wspomnienia mojej młodości.*"

ROZMAITOŚCI.

— *Cechy* są instytucją średniowieczną i zjawiły się w Europie w X-ym wieku. Instytucja ta, którą wywołała potrzeba oporu przeciw średniowiecznym baronom i możnowładzcom, wzrosła z czasem w nadzwyczajną potęgę i całą ludność miejską pochłonęła; nie tylko bowiem rzemieślnicy, ale kupcy, rybacy, szynkarze i wyrobnicy, w cechy się wiązali, a kto nie należał do cechu, nie mógł żadnych towarów produkować. Z czasem jednak, dobroczynny wpływ cywilizacji uczynił tę instytucją raczej szkodliwą, aniżeli pożyteczną. To też rozmaite państwa poczęły znosić cechy. We Francji skasowano je w 1789 r., w Prusach 1810 r. W Rossji wcale ich nie było, w Niemczech i Anglji, licznym uległy ograniczeniom.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.